

Pełnia połowy księżyca

Rozdział 1

Mazury

W tle zamrożone jezioro. Dla oka tylko biel z trudną do określenia odległością, biało, biało i znowu biało. Niewielka wyspa porośnięta długimi trawami pomaga złapać orientację w przestrzeni. Gdzieś za tą wyspą oraz pierwszą, drugą i trzecią połacią bieli pojawia się mgła. Tak wygląda mój świat bez ograniczeń, rozplywa się w wilgotnej spojówce oka. Prawdziwy obraz świata bardziej przypomina białą toń niż to, co spaja dla nas oko. Z punktu widzenia kosmosu wszystko trwa jednocześnie miliony lat i ułamki sekund. Harmonijnie zastania się i odsłania zasłonka moich powiek. Przeżywam każdy ulatujący z ust ciepły oddech. Obejmuję rękawiczkami policzki, jakbym trzymała księżyc w pełni, i po chwili, nie wiem, czy w sekundach, czy milionach lat, parują szkła okularów. Poszły w ruch zalotki, zazdrostki i znieczulenia, żeby tylko się nie pokazać, nie odsłonić i nie poczuć. Przeżywam dziś świat na biało, kręci mi się w głowie i pociągają mnie topielice. Stoję na środku zamrożonego jeziora Mokre i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ktoś łaskocze mnie w stopy, że chce dotknąć, ugryźć, pocałować, pociągnąć w głąb duszy i tam, gdzie wyrasta trzcina. Węgorze ospale wiją się między cieniami lodowych nóg wraz ze strojną nimfą o zielonej twarzy. Nieopodal przereźbłowy siedział z wiaderkiem i pies mi się mocno spłoszył. Okulary przestały parować i zrobiło się miejsce na strach. Na tym środku śnieżnej pustyni, w zawierusze zysków i strat, znów na mej drodze stanął cały świat.

Chicago

Obawiam się, że długo nie pociągnę. Wiem, że życie jest umową krótkoterminową, na której mój podpis coraz bardziej blaknie, a moje stopy nie są już tymi całusiowymi noworodkowymi kwiatuśkami. Życie mówi do mnie różnymi językami. Wynajmuję czasem tłumaczy, tych symultanicznych i tych na papierze. Nadal nic nie rozumiem. Trwam w moim Bardo, myśląc, że to coś znaczy. Tak, znaczy, jeśli to ja nadam temu znaczenie. Nie wiem jednak, jak dorównać drzewom, które wciąż dają to, co pożyteczne. Inaczej sobie to zaplanowałam, nie chciałam tego snu, z którym się dziś obudziłam, nie chciałam słyszeć tej wiadomości, która do mnie dotarła, tego kurzu na książkach i sypiących się igieł pod choinką. Poprzez zwieszony w dół szare kosmyki włosów przebijają słabe

promienie popołudniowego słońca. Duże drewniane okno salonu wychodzące na West Fullerton Avenue w Chicago spoglądało jak oko sprawujące pieczę nad mieszkaniem i jego domownikami. Światło w tym pokoju mierzyło się co dzień ze starą, ciemną, drewnianą podłogą, która była świeżo cyklinowana i w swym nowo położonym lakierze bezlitośnie odbijała promienie, nie dopuszczając do siebie żadnych jasnych myśli. Moje wprawne szczupłe dłonie przeczesywały włosy szczotką, powoli zbliżając się do końca ważnego rytuału. Te konkretne włosy znaczyły coś więcej niż tylko fryzurę. Oznaczały kobiecość i dumę. Codzienny powolny rytuał ich czesania motywował mnie do życia poprzez pamięć o śmierci. W myślach w trakcie czesania pojawiały się bowiem włosy, które pierwsze płoną na stosie, włosy wycięte na peruki, włosy okrywające nagie pogwałcone ciało. Co dzień otwierająca się żywa rana, która prowadzi rękę, raz po raz rozczesując kolejne kosmyki ze spokojem i wytrwałością, której nie pamiętam, kiedy się nauczyłam. Kiedyś nie miałam nawet pojęcia, że w ogóle jestem wytrwała. Wiem tylko, że nawet kiedy mi coś nie wychodzi lub toczy się bardzo powoli, potrafię w tym wytrwać bardzo długo i chyba nawet nie sprawia mi to już wielkiej trudności. Czuję się wtedy, jakbym robiła na drutach, oczko po oczku. Czasem myślę sobie, że tworzę świat, powoli i nie bez problemów, ale taki, jakim chciałabym go widzieć. W prostolinijny sposób dzień w dzień starając się słuchać to szemrającej lodówki, to krzyczącej telewizji, to sąsiadki, to liści i psów za płotem. Taka zwykła uczciwość, która nie pozwala mi przestać. Nie mogę przestać dążyć do prawdy, nawet jeśli dla większości osób nie jest ona istotna. Prawda ma ogromną moc, bez niej, jak w mitologicznym eposie, wytoczy się na świat wielka ciemna chmura zła i pochłonie nas wszystkich. Ja nie chcę przyłożyć do tego ręki ani żadnej innej części mnie. Nie mogę więc okłamywać męża, systemu podatkowego czy koleżanki, nic z tych rzeczy nie wchodzi w grę. Najważniejsze jednak jest prawdziwe spojrzenie na siebie, najważniejsze i oczywiście najtrudniejsze. A prawda o mnie jest, no cóż, nijaka, bez charakteru, galaretowata jak meduza i w dodatku jak się źle dotknie, to parzy bez litości. Kto by chciał takiej prawdy o sobie. Jeśli jednak człowiek oszukuje siebie, to myślę, że dużo boleśniej jest mu umierać. Może więc tylko bronię się przed bólem. Myślę, że śmierć jest momentem, w którym bardzo mocno spotykamy się właśnie z prawdą i czasami może nas to na śmierć przerazić. W zawieszaniu głosu wywołanym przez uśmiech spotkały się fale spojrzeń. Wiatr powiał jak zwykle jednocześnie środkiem ulicy i w jej zakamarkach. Tuż za winklem przejechał autobus i dodał swoje trzy centy do całej sprawy podmuchu. Numer 74, kierunek Logan Square. Baletnica w mojej duszy schowała się za zastonką, leciutka jak pajęczyna w rogu ściany, udaje, że jej nie widać. Pergaminowa skóra uwidacznia kruchość istnienia i maskuje siłę woli. Nikt nie pomyśli o niej, że jest silna, nikt nie posądzi jej o hart ducha. Każdy widzi w niej liście na wietrze, parasolki dmuchawca i obłoki na letnim niebie. Jak to dobrze mieć taką siłę, której nikt nie widzi, tajną moc jak w komiksach Marvela. Niepostrzeżenie chować się za zastonką, przechadzać ulicami miasta, odpowiadać z uśmiechem „dzień dobry” na górskim szlaku. Nikt nie rozpoznaje, nikt o nic nie pyta, wszyscy jak zaczarowani widzą płynące obłoki. Chowam się przed światem i przed sobą. Nie wiem, gdzie jest miejsce, w którym przyjdzie

w końcu ta upragniona myśl, że już siebie odnalazłam. Wyobrażam sobie, że może to być skrzyżowanie ulic w moim betonowym mieście. Głośne, ruchliwe, brudne. Będę wtedy stać, czekając na zielone światło, kiedy mój wzrok się zatrzyma, zawiśnie i rozejrzy się dookoła w surrealistycznym zmrużeniu powiek. Tempo zwolni i zawstydzi mnie moim pośpiechem, po czym przestanę słyszeć dźwięki, zapadnie cisza jak w rezerwacie Umatilla w północno-wschodnim Oregonie. Wszystko będzie się dziać i gnać. I nic nie będzie już istotne, bo zobacze siebie. A może zdarzy się to, kiedy będę już pomarszczona jak niebieska koszula po praniu na zbyt wysoką temperaturę, tu ponaciągana, tu skurczona i do tego wyblakła. Być może będę siedzieć wtedy na plaży, czytając kolejną książkę pod parasolem przeciwsłonecznym, z osłonką od wiatru oraz przewiewną chustą wokół ciała, w ciemnych okularach i na wygodnym leżaku. Będę wtedy patrzeć z dystansem na młodych ludzi, którzy biegną pływać lub przytulają się na ciepłym piasku i korzystają z chwili, nie zastanawiając się, kim są. Albo będzie to moment, kiedy podniosę przedramię, ocierając czoło, w drugiej ręce trzymając łopatę. Dobrze byłoby wykopać trochę szerzej, pomyślę, żeby korzenie mogły się swobodnie ułożyć. Posłucham bzzyczących owadów, uśmiechnę się do dzieci w piaskownicy, zaplanuję kilka kolejnych roślin i napiję się mrożonej herbaty. Tak, to na pewno będzie wtedy. Nie będę już miała wątpliwości, poskładam skorupki egzystencji i z ulgą usiądę, opierając się o drzewo wygięte na kształt kręgosłupa. Kiedy już to wszystko się wydarzy i w tym, i w tamtym, a zwłaszcza w tym jeszcze nieznanym scenariuszu, to obym nie spadła z konia, kiedy się moim cieniem sposzy. Chociaż wiem, że i wtedy zanurkę w głębinę mojej duszy i odszukam muliste dno, bo tam nie ma nic pięknego, i nie roztkliwię się, i nie wzruszę, tylko zanurzę ręce po łokcie w bagnistej mazi. Doszukam się kości moich ludzkich przaprzodków...

*

Kolejny dzień i z wnętrza żółć się wylewa, a może to słońce świeci, nie wiem. Taki stan, kiedy to ciało oniemiałe z wrażliwości i obecności świata. Samo istnienie dostarcza niezliczonych bodźców. Leżę nieruchomo tuż po przebudzeniu i czuję coś pod skórą lewej ręki, jakąś suchość w obojczyku, ciągnące w dół napięcie z przodu głowy, wyraźne pulsowanie w żyłach, głuchy dźwięk w uszach i sztywność na plecach. Tak jest z każdą minutą, w każdej chwili pojawia się coś innego. Istnienie niesie ze sobą natłok odczuwania. Psy szczełają na przejeżdżający samochód, reakcja za reakcją. Na co ja zareaguję? Moje ciało reaguje na wszystko, co do niego dociera, a ja przebieram, wybieram niezbyt często dobrze. W reakcji na świat teraz, w opóźnionej reakcji na świat, który już przeminął, lub w reakcji na świat, który obawiam się, że się stanie. Moje zazwyczaj impulsywne reakcje wnoszą jedynie więcej drżenia na falach wszechświata, przyczyniając się do chaosu. Roztrzęsiona bigotka-migotka. Bez przerwy i do rozpuku śmiać się będę z ciebie, z siebie i ze wszystkich. Nic nie chcę ci powiedzieć, na niczym mi nie zależy, kocham nie mieć nic wspólnego. Z oddali się przyglądam, ale bez ciekawości i dążenia, jak słup na polu wystawiony gapi się we wszystkich kierunkach z oczami dookoła głowy, czy raczej na cztery strony świata jak indyjski Brahma lub słowiański Światowid. Nie martwię się, nie cieszę, jestem,

choć nie ma mnie być może. Na pierwszym piętrze z okna salonu wydłuża się szyja w zbawieniu, oglądając inne niż moje życie. Zawsze, o każdej wysokości słońca i o każdym położeniu księżycy dzieje się wszystko. Przewijają się przede mną nieznanymi, o których wiem tyle, ile znaczą ich kroki, ich sposób poruszania się, ich spojrzenia, drżenie rąk czy ocieranie się uda o udo. Przewijają się też znajomi, o których wiem jeszcze mniej niż o tych poprzednich, bo z nimi już zamieniłam słowo, już określiłam mój stosunek, już nadałam nazwy i odczucia. Wszystko, co o nich wiem, zapada przed moimi oczami kurtyną przemyśleń, uprzedzeń i doznań. Jest to kolejny krwotok nieprzebranych myśli, którym płyną zwiędłe liście i toczą się kamienie. Powoli się snują z jednego pokoju do drugiego, zahaczając o kuchnię i spiżarnię, a zwłaszcza o półkę ze słodyczami. Myśli mnie nie karmią, ranią mą rzeczywistość upragnionego czucia i bycia w stanie czystego umysłu. Kieruje mną strach w większości przypadków, a kiedy nie strach, to ego, chociaż w pewnym sensie to to samo. Siedzę więc i myślę pogubiona w labiryncie czterech ścian. Napieram we wszystkich kierunkach, a ściany mojego umysłu ani drgną. To właśnie nazywa się ograniczenie umysłowe. Mój mózg jest skostniały i jak kościotrup chodzi tylko utartymi ścieżkami, a ścieżka strachu jest już tak bardzo wydeptana, że stała się nie tylko jakimś tam wąwozem, ale chyba to już Grand Canyon.

Warszawa

Raz na jakiś czas gotuję moją świętą zupę. Wybieram dwie nogi zwierzęcia, jakim jest kura, i przynoszę je do domu. Myję je, nacieram czosnkiem, przygotowami i modłę się w myślach, dziękując temu stworzeniu za poświęcenie swojego życia na moją zupę. Dlatego jest święta, bo jakieś stworzenie oddało za nią życie, nawet jeśli brzmi to infantylnie z jakiegoś punktu widzenia, to takie właśnie dla mnie jest. Nie mówię też nigdy nikomu o mojej modlitwie, zapewne pomyśleliby, że już całkiem zbzikowałam, jeszcze nad zupą się modlić. Zresztą jest to coś bardzo głębokiego we mnie, czego nigdy dotąd nie rozumiałam. Przypominam sobie, kiedy byłam dzieckiem, mówiono mi z wyrzutem „modlisz się nad tym jedzeniem czy jesz?”. A ja zawsze jadłam powoli. Teraz rozumiem też, że ja rzeczywiście się modliłam, że gdzieś podświadomie czułam głęboki szacunek do pożywienia, mięsnego czy nie. Porusza mnie widok łąnow zboża na polu, zachwyca mnie przydomowymi warzywniakami i balkonowymi pomidorkami. Infantylnie, wiem.

CAŁY TEKST JEST DOSTĘPNY W WYDANIU PAPIEROWYM „TEKSTUALIÓW” I W PRENUMERACIE INTERNETOWEJ CZASOPISMA.